

AUTOREFERAT
ELABORATION

INSTYTUT SZTUKI, WYDZIAŁ ARTYSTYCZNY UNIWERSYTETU ŚLĄSKIEGO

**PAULINA
POCZĘTA**



INFORMACJE OSOBOWE

1. Imię i nazwisko:

PAULINA POCZĘTA

2. Posiadane dyplomy, stopnie naukowe/artystyczne:

Dyplom uzyskania stopnia doktora w dziedzinie sztuk plastycznych w dyscyplinie sztuki piękne nadany uchwałą Rady Wydziału Artystycznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach z dnia 19.06.2013

Tytuł pracy doktorskiej: Autoportret

Tytuł pracy artystycznej: Autoportret. Ja podejrzane

Promotor: prof. UŚ dr hab. Krzysztof Kula

Recenzenci: prof. zw. Grzegorz Banaszekiewicz, Adi. II st. Prof. UMK Marian Stępak.

Dyplom magistra sztuki

Instytut Sztuki, Wydział Artystyczny Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach,

Tytuł pracy magisterskiej: Fotografia. Pomiędzy dokumentem a fikcją

Tytuł pracy artystycznej: Pokrowce szyte z pamięci

promotorka Prof. Katarzyna Olbrycht, Prof. UŚ dr hab. Józef Knopek.

3. Informacje o dotychczasowym zatrudnieniu w jednostkach naukowych/artystycznych:

Od 01.10.2007r. do 30.06.2010 zatrudniona na podstawie umowy o pracę w niepełnym wymiarze godzin na stanowisku asystentki w Instytucie Sztuki Uniwersytetu Śląskiego.

Od 01.09.2010 zatrudniona na podstawie umowy o pracę w pełnym wymiarze godzin w Instytucie Sztuki Uniwersytetu Śląskiego.

Od 01.02.2014 do 30.06.2018 zatrudniona na podstawie umowy o pracę w pełnym wymiarze godzin w Instytucie Sztuki Uniwersytetu Śląskiego na stanowisku adiunkta.

Od 01.07.2018 zatrudniona na podstawie umowy o pracę na czas nieokreślony w pełnym wymiarze godzin w Instytucie Sztuki Uniwersytetu Śląskiego na stanowisku adiunkta.

Od 24.10.2018 do 20.11.2018 i od 28.02.2019 do 19.06.2019 umowa zlecenie od Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, reprezentowanego przez mgr. Dariusza Laskę - p.o. Zastępcy Kanclerza ds. Rozwoju i Współpracy z Gospodarką na wykonanie pracy tutora w programie „Uniwersytet Najlepszych”.

Uczelnia stanowi podstawowe miejsce pracy.

4. Wskazanie osiągnięcia wynikającego z art. 16 ust. 2 z 14.03.2003 r. o stopniach naukowych i tytule naukowym oraz o stopniach i tytule w zakresie sztuki.

Drobne ranki, piękne zmierzchy - zestaw prac stanowiący dzieło habilitacyjne 2014 - 2019,

Upublicznione na wystawach indywidualnych:

Drobne ranki, piękne zmierzchy, Galeria Bielska BWA, Bielsko-Biała, 01-25.02.2018

Kolekcjonerka, Galeria II Piętro, Gminny Ośrodek Kultury w Pawłowicach, 11.11-13.12.2018

Afekty specjalne, Galeria 58, Radom, 12.11- 15.12.2016

Wielkie mi rzeczy, BWA, Zielona Góra, 19, 02-25.09.2016

zbiorowych:

Osobiste narracje, Galeria Uniwersytecka, Wydział Pedagogiczny, Uniwerszita Konstantina Filozofa w Nitrze, Słowacja, 12.03-17.04.2019,

Zakładnicy rysunku, Galeria Puda, Czeski Cieszyn, Czechy, 07.11-07.12.2018.



AUTOREFERAT

„Pokrowce szyte z pamięci”, tytuł mojej pracy dyplomowej obronionej w 2005 roku w Galerii Szarej w Cieszynie, wieńczącej moje pięcioletnie studiowanie w tamtejszym Instytucie Sztuki, Wydziału Artystycznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach może stać się dobrym początkiem w próbie sformułowania założeń artystycznych i analizy twórczości własnej, uwzględniając dzieło habilitacyjne.

Pamięć, próba jej zachowania to podstawowy składnik moich działań artystycznych. Wątki autobiograficzne to kolejny ważny składnik twórczości, dlatego pozwolę sobie na krótki rys autobiograficzny w tej części. Wychowałam się na wsi, na granicy Zagłębia Dąbrowskiego i Jury Krakowsko-Częstochowskiej w miejscowości o nazwie Chruszczobród. Wciąż mam ją wpisaną jako adres zameldowania, we wciąż obowiązującym nakazie meldunku, we wciąż zmieniającym się życiu, gdzie jedno miasto ustępuje drugiemu, a kolejne wynajmowane mieszkanie okraszone jest innym adresem, do którego powoli, ale zawsze na jakiś czas się przywiązuję. Trudna do wymówienia była nie tylko nazwa wsi, w której stawiałam pierwsze kroki, także dzieciństwo rozpięte na dwóch biegunach – domu rodzinnego, gdzie panował mocny autorytaryzm ojca alkoholika, spolegliwość i łagodność matki, której często nie było w domu i – domu dziadków, którzy w dużej mierze wychowali mnie i uształtowali na przyszłe lata, domu gdzie panował spokój, ale i bieda. Śp. babcia Helena, matka mojej matki Zofii, córka Marcjanny, żona dziadka Bronisława wszystkiego mnie nauczyła, dlatego nie mogłabym o niej tutaj nie wspomnieć. Dziadkowie poznali się, jak wspominała babcia Helana, bo tak chciała jej mama Marcjanna, ponieważ Bronisław był dobrym i pracowitym człowiekiem i nadawał się na męża. Helena wyszła za niego, razem wybudowali skromny dom w Chruszczobrodzie. Dziadek pracował w cementowni, babcia wychowywała dzieci i zajmowała się domem, szyła. Potrafiła uszyć niemalże wszystko. W czasach panieńskich uczęszczała na kursy szycia do lokalnej, nieformalnej szkoły krawieckiej dla kobiet. Babcia chorowała na żylaki, miała osiem operacji wycięcia niedrożnych żył. Często bywała w szpitalu. Pamiętam, jak raz ją odwiedziłam po lekcjach w liceum i nie zastałam jej w sali. Lekarka z oddziału poprosiła babcie o ręczne uszycie stanika na swój niewiarygodnie wielki biust. Babcie znalazłam w gabinecie pani doktor z igłą i nitką nad płóciennymi miseczkami, które były wielkości kapelusza na głowę. Dziadkowie

Fragment instalacji pracy dyplomowej *Pokrowce szyte z pamięci*, 2005, Galeria Szara, Cieszyn.



J. Pospolita



Fragment instalacji pracy dyplomowej *Pokrowce szyte z pamięci*, 2005, Galeria Szara, Cieszyn.

mieli skrawek pola, który uprawiali sadząc ziemniaki, zboża, warzywa na potrzeby swojego gospodarstwa domowego i niewielkiej rodziny. W bliskim sąsiedztwie domu znajdował się chlew, stodoła i piwnica, w której był piec do chleba i w której składowało się na zimę dary pola (drewniana skrzynia z piaskiem i ziemią w której zagłębiało się dłonie w poszukiwaniu prawie jędrnych, jak ledwo wyrwanych z grządki marchewki czy pietruszki), piwnicy w której kisiło się kapustę w wielkiej drewnianej beczce (co tydzień, dwa należało przemyć deski i kamienie dociskające od góry kapustę). Dietę dziadków, a co za tym idzie także moje nawyki żywieniowe przejęte od nich stanowiły ziemniaki, nabiał i warzywa.



Trzy rysunki z cyklu *Odrobina człowieczeństwa*,
II Nagroda, 8 Międzynarodowe Biennale Miniatury 2014 w Częstochowie, Ośrodek Kultury Gaude Mater, Częstochowa.

Mięso na stole było kalendarzowym przypomnieniem o świętach i niektórych niedzielach. Kury dziadków umierały ze starości, nikt nie lubił zabijać zwierząt, z których zrezygnowano po zabiciu ostatniej świni i cielaka na Komunię mojego starszego o trzy lata brata Piotra. Dom zawsze był pełen kotów i małych kundli, które każdorazowo dziadkowie nazywali Kubusiami.

Dziadkowie niczego nie wyrzucali (niemal), wszystko mogło się jeszcze do czegoś przydać. Rzeczy zepsute reperowało się, zużytą odzież cięto na szmaty do podłogi lub z pociętych na paseczki robiono chodniki, guziki łądowały w pojemniku po kawie. Dziadek wciąż majsterkował na podwórku, (przynosił znaleźiska ze śmietnika, znalezione przy drodze butelki lub otrzymane od kogoś rzeczy, deski, metalowe części, dziwne przedmioty), które z biegiem lat stało się „masywem kolekcjonerskim”. Jak weszłam do Bunkra Sztuki w Krakowie na wystawę o takim tytule Roberta Kuśmirowskiego, w lutym 2009 roku to poczułam klimat podwórka dziadka zbieracza. w którym można było znaleźć absolutnie wszystko. Babcia to samo robiła tyle, że w domu, przechowywała każdy skrawek tkaniny, resztkę nici nawijała na zwitek papieru, odpruwała zamki z podartych spodni, haftki ze stanika (nadadzą się do nowego stanika), wymieniała kołnierze w koszulach i przetarte mankiety. Na stole były trzy, czasem cztery obrusy. Ten na wierzchu najbardziej poplamiony, szary, zużyty, krył pod sobą taki czystszy, kolejny był z haftem, a na samym spodzie wykrochmalony bielusiński, który niemal nigdy nie cieszył oczu skryty pod tymi zakurzonymi. Pamiętam do dziś dnia, gdy pierwszy raz jako mała dziewczynka kroić materiał na tym stole wielkimi krawieckimi nożycami babci i wraz z materiałem, z którego chciałam uszyć poszewkę na poduszkę czy spódnicę dla lalki przecięłam jeden z obrusów babci. Spokojnie jak zwykle powiedziała – nic się dziecko nie stało, trudno, przerobimy na serwetki. To moje pierwsze umiejętności – czytania, pisania, szycia nauczyła mnie babcia Helena, zanim poszłam do szkoły podstawowej i tak zwanej zerówki. Wszystko robiłam z babcią i dziadkiem, majsterkowałam, szyłam, gotowałam, darłam pierze, robiłam wianki i bukiety z kwiatów, cerowałam skarpety i haftowałam, przerabiałam jedne rzeczy na inne. Mama spędzała z nami czas robiąc różne prace ręczne, lubiła szczególnie z nami malować, robić kartki, laurki i szyć. Na ścianie w naszym pokoju namalowała nam wielką wiewiórkę. Całe życie, do czasu gdy stwardnienie rozsiane odebrało jej także



Tosia, obiekt, 2019, (nigdzie nie prezentowany)

władzę w dłoniach robiła na szydełku i drutach niesamowite rzeczy z wełny. Ojciec nauczył mnie grać w szachy, w karty i gwizdać na palcach (bardzo głośno), namawiał do czytania książek i robienia zapisków. W domu rodziców było czasem niebezpiecznie, należało zachowywać bezwzględny spokój (ojciec nie znosił hałasu) i czystość, porządek (zasady zawieszane były jedynie na okres powtarzających się ciągów alkoholowych), należało się dobrze uczyć w szkole (żadne z rodziców nie chodziło na wywiadówki, mieliśmy z bratem rodzicielski przykaz – uczyć się dla siebie, nie dla ocen i nie dla nich, ani tym bardziej dla nauczycieli). O dziwo ramy programowe nauczania moich

rodziców się sprawdziły, oboje z bratem mieliśmy świadectwa z paskiem, oboje ładnie rysowaliśmy i malowaliśmy w szkole.

Wyposażona w przymusową samodzielność pod koniec ósmej klasy w podstawówce pojechałam autobusem do sąsiedniego miasta Dąbrowy Górniczej (Gołonóg) i zdałam egzaminy do Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych im. Tadeusza Kantora. Było to pięcioletnie liceum w którym w owym czasie panował niesamowity klimat artystyczny, a nauczyciele mieli wielki szacunek i zaufanie do uczniów. Szkoła stanowiła dla nas wspaniały, nowy świat w którym poznawałam poza rysunkiem i malarstwem techniki rzeźbiarskie, graficzne, liternicze. Na pracę dyplomową wykonałam kilkanaście grafik w technice akwaforty i akwatinty ilustrujących w zabawny i nieco ironiczny sposób słowa zaczerpnięte ze słownika wyrazów obcych. Do wykreowania ilustracji posłużyły mi wycinki z licznych gazet i wcześniej wykonane kolaże. Pracę tę zrealizowałam wraz z koleżanką z klasy Pauliną Litwin (ona wykonała swoje kilkanaście grafik). Całość zatytułowaliśmy – „Na pchlim targu miłości”. Koleżanka Paulina, z którą bardzo się przyjaźniłam dostała się na katowicką Akademię Sztuk Pięknych po maturze, ja mimo zdanych egzaminów nie. W tym samym czasie zdałam egzaminy wstępne do Instytutu Sztuki w Cieszynie, gdzie rozpoczęłam studia w roku 2000. Był to piękny czas zabawy, pierwszych i do tej pory utrzymywanych przyjaźni, wspólnego eksperymentowania w pracowniach i poza nimi.

Instytutowe zaplecze było obszerne i fascynowało nas swoimi możliwościami. Dużo rysowałam, zwłaszcza poza pracownią. Przez całe studia realizacje w pracowni mnie krępowały, lubię pracować w samotności i ciszy. Często z wykładowcami miałam nieformalną umowę, że przynoszę więcej prac spoza pracowni i konsultuję własne pomysły, a przez to mogę mniej pracować w sali z innymi studentami. Szkicowałam dziadków za każdym razem, gdy odwiedzałam dom. Rysowałam portrety, ich niezliczone portrety pomarszczonych, poszatkowanych mimiką skór na starych papierach, wykrojach krawieckich babci, dawnych świadectwach szkolnych. Doceniła to moje rysowanie prof. Anna Kowalczyk-Klus. Pokazywała moje prace na przeglądach i wystawach studenckich, w wydzielonych publikacjach. Dobrze czułam się w pracowni grafiki, dlatego wybrałam pracownię graficzną na realizację swojego dyplomu. Wybrałam ze względu na osobę – prof. dr hab. Józefa Knopka. Pięć lat studiów artystycznych i trzy ważne dla mnie w tym czasie osoby, wspomniany J. Knopek, który w ciepły i przystępny sposób zachęcał mnie do eksperymentów



Wykroje z życia, 2008, IV Międzynarodowy Konkurs Rysunku, Wrocław 2009. Stary Ratusz.

graficznych, rysowania i poznawania szerszego (niż program dla kolejnej klasy medium grafiki (niezapomniane spotkanie poza pracownią z Jadwigą Smykowską). Drugą ważną osobą okazała się dla mnie rzeźbiarka dr hab. Krystyna Pasterczyk, której się przeraźliwie bałam, ale to ona zadała mi bardzo istotne pytania odnośnie twórczości – po co coś robisz? dlaczego tak? jakie znaczenie ma w tym materiał, narzędzie, skala i taki, nie inny sposób kreacji? Nigdy wcześniej z takimi pytaniami i rozmowami nie spotkałam się wśród innych wykładowców i wykładowczyń. Trzecią ważną osobą stała się dr hab. Joanna Wowrzeczka, która wprowadzała nas w świat sztuki, krytyki, socjologii i kultury. Na przedmiocie marketing sztuki, na zaliczenie mieliśmy do wykonania ćwiczenie – prezentację twórczości kogoś ze świata sztuki lub zorganizowanie wystawy własnej i zaprezentowanie swoich prac. Był to trzeci rok moich studiów, dużo wtedy eksperymentowałam poza pracą na zajęciach z rysunku, malarstwa, rzeźby, grafiki łącząc różne media, materiały i techniki przede wszystkim z tkaniną. Pokazałam swoje prace te własne, pozapracowniane, tworzone nie na zaliczenie, nie na zajęciach właśnie Joannie. Były to w tym czasie szyte przeze mnie pieczołowicie dużych rozmiarów patchworki ze znoszonej przeze mnie odzieży i tekstylne portrety moich bliskich z wykorzystaniem mrugających oczu z moich starych lalek, które znalazłam na strychu odwiedzanego co dwa tygodnie domu rodzinnego.



J. Wowrzeczka szczerze zachwyciła się tymi moimi działaniami i namówiła mnie, bym na zaliczenie zorganizowała swój autorski pokaz, swoją własną, pierwszą indywidualną wystawę w Galerii Sza-rej w Cieszynie. Tytuł wystawy brzmiał – „Ja szyję.” Pokazałam na niej uszyte patchworki o różnych kształtach i wielkościach, zszywanych zazwyczaj z prostokątnych fragmentów, np. z samych piżam, samych koszul męskich (tak ubierałam się w liceum), z białych i granatowych ubrań ‘mundurków’ szkolnych. Pokazałam rozpoczęty cykl szytych portretów pod tytułem – „Ja+Wy=Ono”, cykl, który przez szereg kolejnych lat kontynuowałam poznając kolejne osoby w swoim życiu i otrzymując stare lalki od różnych osób, lalki z których wyciągałam oczy i których plastikowe ciała zostawiałam

Z cyklu *Ja+Wy=Ono*, instalacja z wystawy *Babski dizajn* w Śląskim Zamku Sztuki i Przedsiębiorczości w Cieszynie, 2009, powyżej portret Krystyny Pasterczyk z tego cyklu.





Ja+Wy=Ono, instalacja na wystawie *Oder - Odra 2004*, Kunstbauwerk e.V. Tabakfabrik, Niemcy.

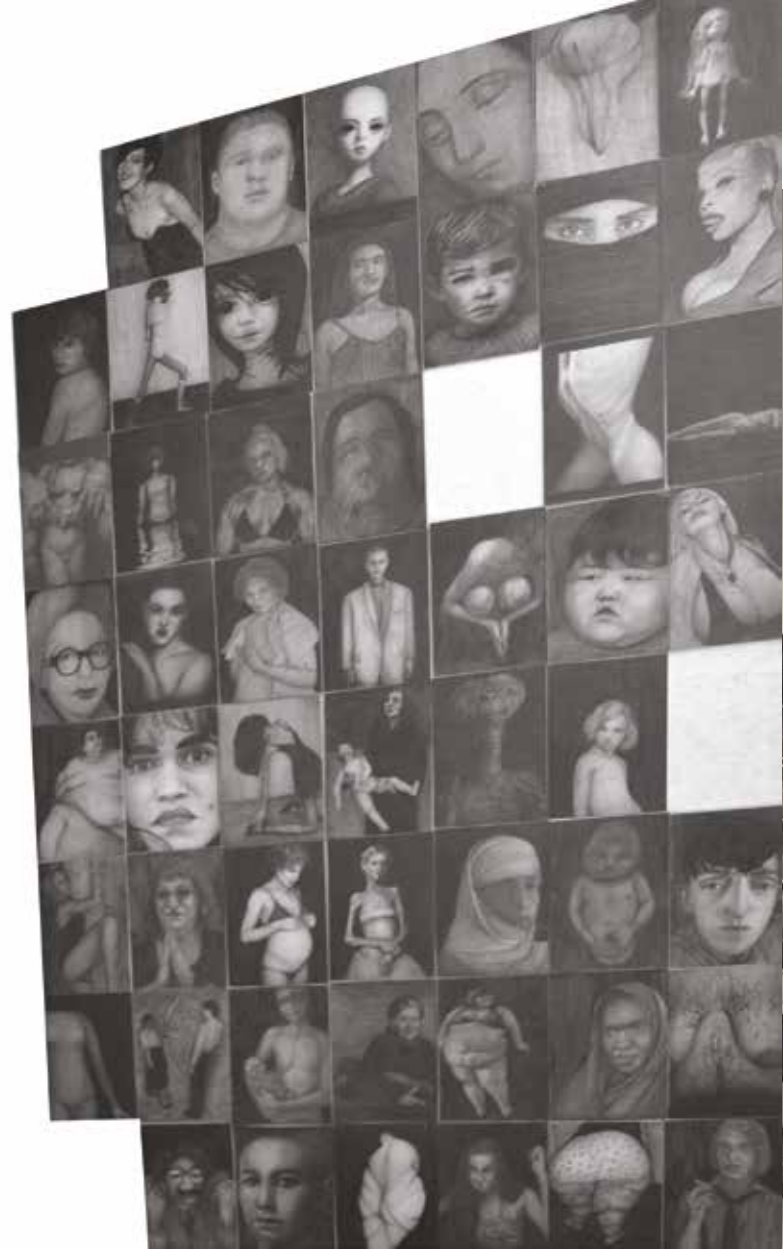
(nafdały się kiedyś na pierwszą poklatkową animację grafiki komputerowej). Naprawdę wyuczona w dzieciństwie aby nie wyrzucać rzeczy, nie wyrzucałam, a moją techniką stało się przetwarzanie. Bardzo ważna była dla mnie ta wystawa, taka pierwsza konfrontacja z odbiorcami, te rozmowy, które odbyły się na wernisażu, osoba Joanny Wowrzeczki. Ludzie, którzy przyszli i dowiedzieli się o tym, co robię (w tym czasie i miejscu takie działania w obrębie obiektu, tkaniny, szycia nie

były jeszcze popularne i częste w cieszyńskim środowisku) zaczęli przynosić mi swoje stare lalki, pytali czy nie chcę jakiś materiałów. Joanna zaproponowała także moją osobę jako ciekawą propozycję na przegląd sztuki w projekcie Oder/Odra, kuratorowany z polskiej strony przez dr. hab. Agatę Zbylut. Pierwszy raz wyruszyłam wtedy jako studentka czwartego roku do Szczecina, potem do Niemiec z moim rozrasającym się cyklem szytych portretów „Ja+Wy=Ono” i wzięłam udział w wystawach, w których swoje prace pokazali także: Marcin Berdyszak, Christiane Hause, Jacek Jagielski, Stephanie Pelz, Agnieszka Rek-Lipczyńska, Thorsten Streichardt oraz grupa Trilot. Wystawy tego projektu odbyły się w Kunstbauwerk eV. w Schwedt (tygodniowy pobyt i praca nad instalacją w remontowanej i przerabianej na galerię sztuki wielkiej fabryce tytoniu), w Galerii Amflada w Szczecinie, w Kunstraum Kreuzberg/Bethanien w Berlinie, a zakończyła wystawa w Galerii Szara w Cieszynie. Finłem podsumowującym ten etap mojego życia i twórczości było wykonanie pracy dyplomowej z grafiki pod kierunkiem prof. dr. hab. Józefa Knopka, który bardzo mi jako studentce zaufał i pozwolił wykonać pracę wykraczającą poza obszar klasycznie pojmowanego warsztatu graficznego. „Pokrowce szyte z pamięci” były zestawem obiektów graficznych i składały się na instalację, która sprawiała wrażenie mieszkania i rzeczy w typowym wnętrzu mieszkalnym. Podyktowane moimi autobiograficznymi wątkami były to: święty obrazek trójwymiarowy, (linoryt, trzy portrety linearne babci Heleny); wisząca lampa nocna nad łóżkiem; narzuta uszyta z sukni ślubnej mamy i elementami z nadrukiem zwielokrotnionej twarzy mojej mamy i babci w formie wielkiej tarczy zegara; trzy poszewki na poduszki z haftowanymi portretami moich rodziców (ze zdjęcia ślubnego), portret brata oraz mój ze starej fotografii z albumu rodzinnego; stolik z uszytą przeze mnie szachownicą, której figury stanowiły obszyte koronką czarną i białą małe buteleczki (tzw. małpki) po alkoholu różnych wielkości i kształtów (po przeciwnych stronach stały krzesła - częściowo obszyte, częściowo tapicerowane z portretami moim i mojego ojca); stolik kawowy z serwetkami (nadruk z matrycy rzeczywistej - spód butelki i guziki). Zwieńczeniem całości był koń na biegunach, obsyty białym materiałem z elementami koronki i haftu, w którego biegunach w formie naprzemiennej, szachownicowej znajdowały się cyfrowe wydruki przedstawiające mój dom rodzinny i dom dziadków. Wszystkie uszyte przeze mnie prace z dyplomu były wykonane z autentycznych materiałów odszukanych w domu (suknia ślubna mamy, jej welon, stary garnitur ojca, koronki, taśmy i pasmanteria babci, elementy półciennej pościeli z ręcznymi haftami itd.). Wnętrze galerii pomalowałam specjalnie zagęszczoną farbą emulsyjną białą na bieli ściany (co dawało tylko delikatny efekt reliefu) wzorzystymi wałkami ozdobnymi mojego dziadka ze strony ojca, który był malarzem pokojowym. Wystawę dyplomową przygotowywałam długo i była to pierwsza obrona dyplomu magisterskiego Instytutu Sztuki w Cieszynie poza murami uczelni. Dyplom ten znalazł się w drugiej edycji – „Najlepszych dyplomów z grafiki” roku 2005 Stowarzyszenia Międzynarodowego Triennale Grafiki

Fragment pracy *Dziury*, 2018,
Galeria II Piętro, GOK, Pawłowice, 2018.

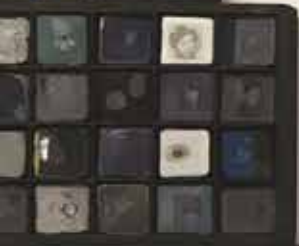


w Krakowie (niestety po zmianie strony internetowej witryna – diplomy.triennial.cracow.pl jako najstarsze pokazuje te od roku 2015). Tworząc pracę dyplomową z grafiki warsztatowej postanowiłam sięgnąć bezpośrednio i pośrednio do materii, która jest dla mnie materia wewnętrzną grafiki i która wciąż posiadała w sobie energię całego zaplecza, w którym wyrosłam, a które postanowiłam wydobyć na światło dzienne właśnie w tej pracy. Bycie artystką to nieustanne zadawanie sobie pytania o tożsamość. Moja sztuka to produkt na który składają się :ja, scenariusz na moje życie zapisany w genach, scenariusz na moje życie zapisany w życiu rodziny, w krajobrazie w którym dorastałam i scenariusz zapisany w memach, czyli w tradycji i kulturze. W pracy tej ważny był dla mnie szczególnie bezpośredni kontakt z materiałem, będącym wewnętrzną matrycą graficzności tego, co było i tego, co odciska swe piętno i o czym pamięć nosimy w sobie nawet nie zdając sobie sprawy. Historia, którą opowiadała moja praca była zindywidualizowana, tak jak przeszłość, która jest osobistym przeżyciem każdego z nas. Jednak wszystkie te moje ułamki, skrawki, fragmenty rzeczy pozostawiały przestrzeń dla interpretacji odbiorcy i jego własnego odczytywania tej historii i umieszczania w niej wspomnień swojego życia. Ludzie istnieją poprzez rzeczy, w ich egzystencji ukrywają się cienie ich użytkowników. Wierzę w to, budując także moje kolejne gabloty z kroków, których ślad zapisał się w formie przetarcia na licznych skarpetkach w cyklu – „Lekcja skarpet”. W kawałku materiału pozostaje coś, dzięki czemu możemy o nim pamiętać. Zbieranie to zatrzymywanie śladów, docieranie do aury i próba jej zachowania, utrwalenia nie tylko w pamięci, ale także w zasięgu ręki.



Mieszkając w domku z kart, fragment, V Międzynarodowy Konkurs Rysunku. Wrocław 2012, Muzeum Architektury, Wrocław 2013. Na następnej stronie zdjęcie z wystawy Drobne ranki, piękne zmierzchy, Bielska Galeria BWA, Bielsko-Biała, 2018.

Ponieważ bardzo dobrze studiowałam mi się w cieszyńskim Instytucie Sztuki i mając dobry kontakt z wieloma wykładowczyniami i wykładowcami tej uczelni naiwnie sądziłam, że po obronie dyplomu zaproponują mi pracę asystentki. O swoich marzeniach, jak zwykle nic nikomu nie mówiłam. Nikt jednak nie zatrzymał mnie wtedy w macierzystej uczelni, a ja dzięki temu mogłam zderzyć się z tak zwaną rzeczywistością. Wyprowadziłam się po pięciu latach z Cieszyna, zwiozłam do domu rodzinnego wszystkie nagromadzone przez ten czas rzeczy, artefakty i prace z zajęć, a po wakacjach wyjechałam do Krakowa, gdzie zamieszkałam i zaczęłam szukać pracy. Studia, agencje graficzne licznie odwiedzane przez mnie nie oferowały mi niczego ponad bezpłatny staż (w tym czasie nie miałam żadnego doświadczenia w pracy), a ja nie miałam dużego



zapleczu finansowego, nie chciałam także prosić o pomoc, dlatego natrafiwszy na ogłoszenie w prasie krakowskiego dziennika - „zatrudnimy amatorów aktorów/aktorki do teatru”, zadzwoniłam i zostałam poinformowana o spotkaniu i przesłuchaniu chętnych.

Prywatny Teatr Profilaktyki i Edukacji Maska okazał się objazdowym teatrykiem, który oferował spektakle dydaktyczne uczniom szkół i placówkom wychowawczym, dostosowane do wieku i zainteresowań grupy docelowej. Mimo, że nie miałam doświadczenia w tym zakresie, pomyślnie przeszłam rozmowę kwalifikującą, a właściciele teatryku dobrali mi partnera scenicznego. Dostaliśmy scenariusze, których mieliśmy się nauczyć i odegrać przed kierownictwem firmy za tydzień. W kolejnym tygodniu pojechaliliśmy w naszą pierwszą trasę. Marketerzy firmy sprzedawali spektakle z oferty Teatru Maska na terenie całej Polski, w weekend dostawaliśmy grafik, a w poniedziałek rano z naszym osobistym kierowcą (który był także odpowiedzialny za montaż sceny i rozkładanie scenografii) wyruszaliśmy w pięciodniową trasę. Po pierwszych stresach, gafach z zapominaniem tekstu, fałszowaniem melodii piosenek w spektaklach dla najmłodszych - nabraliśmy z Kamilem, scenicznym partnerem pewności siebie i zaczęliśmy się bawić tym naszym 'graniem'. Jak się okazało, oboje mieliśmy do tego grania pewne predyspozycje (mieliśmy dobrą dykcję i mocne głosy, dość dużą ekspresję ciała i mimiczną), łączyło nas to, że lubiliśmy eksperymentować i czasem improwizowaliśmy w czasie spektaklu, żeby podnosić sobie poprzeczkę i wymuszać świeżą energię, niesłabnące zaangażowanie tą formą naszej kreacji (oczywiście nasze szefostwo nic o tym nie wiedziało). Spektakle były różne – o przemocy w szkole, o dorastaniu, o depresji, używkach a dla młodszych o czystości, segregowaniu śmieci i kłamstwie. Po każdym wystąpieniu i po przebraniu się mieliśmy jeszcze przeprowadzać z widzami krótką rozmowę, pogadankę na temat kompatybilny z treścią zagranego spektaklu. Nasz kierowca ustalał również noclegi, jego pasją było wyszukiwanie ciekawych miejsc, alternatywnych do przydrożnych hoteli. Podróżowaliśmy po całej Polsce, poznawaliśmy swój kraj, ludzi i uczniów tak różniących się mimo podobnego wieku swoim zachowaniem, empatią, uwagą w zależności od statutu, wielkości miasta, liczebności grupy. Poza szkołami zdarzało nam się grać także w domach dziecka i domach poprawczych. Mieliśmy dużą swobodę, sami z czasem decydowaliśmy jak gramy, co mówimy i jak wyglądamy na scenie. Uszyłam na potrzeby naszych wystąpień scenografię do jednego spektaklu i kilka mniej-



szych rekwizytów. Po zakończeniu roku szkolnego i czekającej nas przerwie wakacyjnej nie zdecydowaliśmy się na kontynuację tej pracy choć było to doświadczenie niebywale rozwojowe, wielowymiarowe i ciekawe, było także męczące, stresujące i niebezpieczne momentami (wiele kilometrów w trasie). Miałam wrażenie, że pracuję w cyrku i rok wystarczył, bym przekonała się, że zdecydowanie wolę osiadły tryb życia. Kolejna praca wyniknęła ze splotu okoliczności w których to rolę tym razem odegrał mój brat Piotr. Brat chciał zostać przyjęty do pracy w redakcji Tygodnika Katolickiego Niedziela, którego redaktorem naczelnym był daleki kuzyn babci Heleny, ks. Infułat Ireneusz Skubiś. To ksiądz sprawił, że kolejną pracą była ta, od której

Z cyklu *Lekcja skarpet*, fragment instalacji w przestrzeni miejskiej festiwalu sztuki *ARTeria – pierwszy strzał*, 2011, Częstochowa. Na sąsiedniej stronie z cyklu *Lekcja skarpet*, obiekt powstały podczas *XI Spotkań Artystycznych*, Pszczyna 2011.



wcześniej miałam zamiar rozpocząć karierę zawodową, czyli praca grafika komputerowego. Ireneusz Skubiś znał mojego brata, który już raz pracował w jego tygodniku, po czym zwolnił się i chciał wrócić ponownie do niej. Wtedy to zostałam zwerbowana do pracy w redakcji bo postawiona przed wyborem – popracujesz dla nas (dla Niedzieli) jako graficzka (podobno jesteś zdolna), a my przyjmujemy także (z powrotem) do pracy twojego brata (fotoskład i internet).

Tak więc zaraz po zakończeniu czerwcowej, ostatniej trasy z teatrykiem objazdowym trafiłam do zgoła innego, nieopodal Jasnej Góry w Częstochowie, gdzie zostałam bez odpowiednich umiejętności i znajomości programów graficznych zatrudniona po znajomości na stanowisku grafika komputerowego. Ponieważ zostałam zatrudniona zupełnie nagle w redakcji Niedzieli, nie miałam przygotowanego stanowiska pracy, szefowa działu graficznego posadziła mnie więc przy wielkim tablecie Wacom, ustawionym jak blejtram na sztaludze, a do ręki dostałam pióro, czułe i niesamowicie responsywne narzędzie, które zmieniło moje postrzeganie grafiki komputerowej w tym czasie. Dość szybko, z dużą pomocą dziewczyn pracujących w studio graficznym nauczyłam się podstaw programu QuarkXPress, a potem Adobe InDesign. Do moich zadań należało łamanie tekstu, dostosowywanie układu do zawartości, opracowanie i dobór odpowiednich fotografii, ilustracji (w tym zamówienia z agencji fotograficznych), fotografowanie, ilustracja felietonów itp. Obróć cotygodniowej pracy przy składzie prawie sześćdziesięciu stron Tygodnika Katolickiego Niedziela (od poniedziałku do piątku, gdy wysyłaliśmy pdf'a do drukarni), miałam wraz ze współpracowniczkami działu także pracę bardziej ilustracyjną i projektową nad kwartalnikiem Tęcza, dla dzieci. Po kilku miesiącach pracy, gdy nauczyłam się już obsługi programów i zdobyłam wystarczające w tej pracy umiejętności graficzne poczułam, że się nudzę i potrzebuję czegoś więcej. Zaczęłam w każdej wolnej chwili rysować na tablecie, przeglądać swoje starsze prace, skanować szkice i składać swoje portfolio z szytych obiektów, które wciąż przecież powstawały. Po pół roku zaczęłam mieć problemy z kręgosłupem (siedząca, ośmiogodzinna praca i prawie dwugodzinne dojazdy pociągiem), zachorowałam także na depresję. Nie widziałam sensu w takim życiu, gdzie dojazd do pracy (z domu rodzinnego w Chruszczobrodzie, bo Częstochowa mi się jako miasto nie podobała i nie chciałam tam zamieszkać) i praca wypełnia szczelnie każdy dzień,



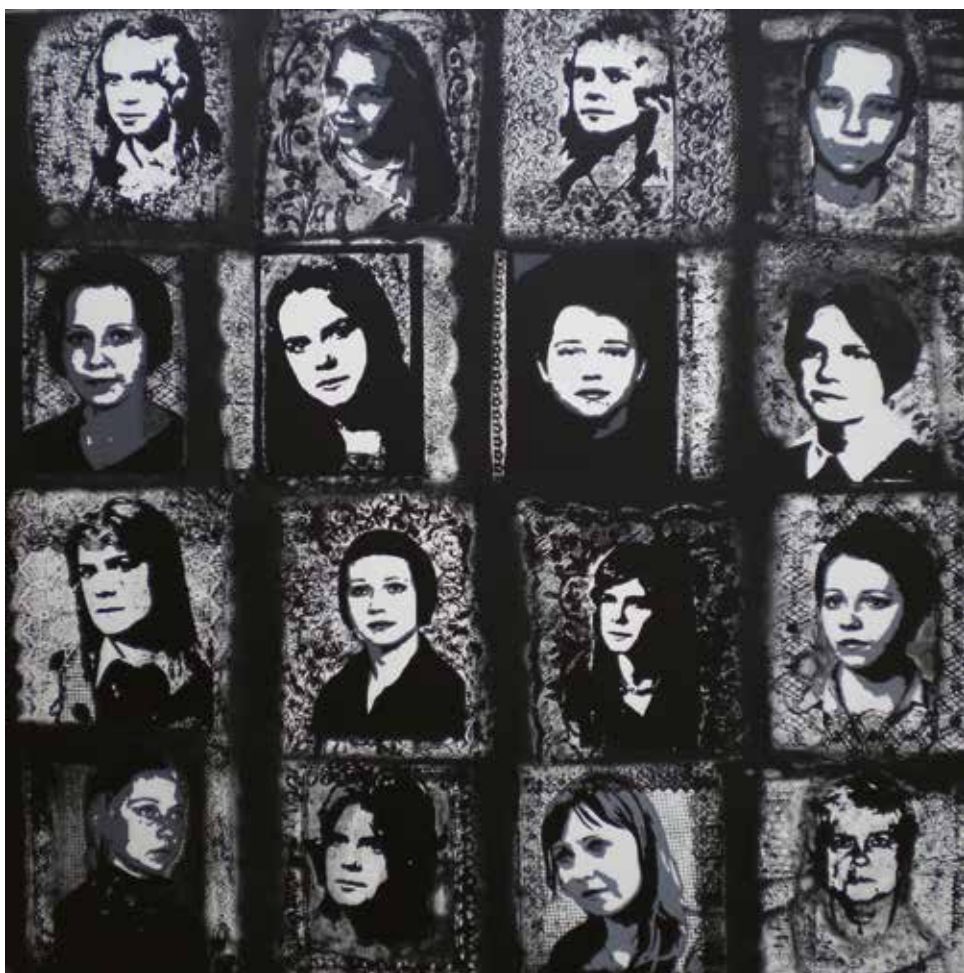
a weekend pozostaje buforem na wyspanie się i odpoczynek jedynie. Przestało mi się podobać rysowanie ilustracji do szowinistycznych i autorytarnie prawicowych felietonów, nie bawiło mnie już wybieranie zdjęć z agencji fotograficznych, ani pozowanie do niektórych fotografii inscenizowanych dla frajdy, a kwartalnik *Tęcza* zszarzał dla mnie i wypływał bez znaczenia. Dociągnęłam do ostatniego dnia umowy o pracę na czas określony (29.06.2007) i do pracy tej już nie wróciłam.

Znów w tym czasie wydarzyło się coś, czego się niespodziewałam. Po dwóch latach od zakończenia studiów, zadzwoniono do mnie z propozycją rozmowy i złożenia swoich dokumentów oraz portfolio - w celu przyjęcia

mnie na stanowisko asystentki. Działania te zainicjował prof. dr hab. Krzysztof Kula i dr hab. Joanna Worwreczka. Od października 2007 roku zamieszkałam ponownie w Krakowie (ze względu na miłość do pewnego młodzieńca, który tam studiował prawo na UJ) z którego dojeżdżałam co tydzień na dwa dni do Cieszyna. Pracę rozpoczęłam prowadząc zajęcia z rysunku przy boku Krzysztofa Kuli. W kolejnym roku akademickim prowadziłam już zajęcia samodzielnie, były to zajęcia z rysunku, oraz interdyscyplinarne projekty twórcze zaraz później. Swój ścieżkę dydaktyczną opisałam w załączniku – Wykaz dorobku dydaktycznego.

Moje zatrudnienie w Instytucie Sztuki w Cieszynie zaczęło się od półetatowej asystentury, potem mój etat

zwiększono do 0,75 %. Zarabiałam przysłowiowe grosze, które nie starczały niemal na dojazdy, wynajmowany pokój w hotelu akademickim (jedna noc, czasem dwie), wyżywienie. Być może nie powinnam w autoreferacie wspominać o tak przyziemnych sprawach jak zarobki, jednakże kwota 680 zł miesięcznie, którą dostawałam przez dwa pierwsze lata pracy na uczelni na długo zapadła mi w pamięć. Byłam biedakiem, ale zaczynałam być szczęśliwym biedakiem ponieważ pierwszy raz w życiu poczułam, że ta rozpoczęta praca naukowo-dydaktyczna daje mi niebywałą satysfakcję, stawia przede mną wyzwania i wymaga dużego zaangażowania. Łączy w sobie umiejętności personalne (odgrywanie różnych ról i kontakt z innymi ludźmi) zdobyte w teatrze, pozwala tworzyć (dużo czasu poza godzinami zajęć i obowiązkami pozadydaktycznymi), wymaga pewnej dyscypliny w aktywności artystycznej i popularyzatorskiej. Dużo w tym czasie malowałam i rysowa-



Nie ma cię na naszej klasie i nie będzie, 2011,

Efekt pasażu, Otwarta Pracownia, Kraków, 2011

Na poprzedniej stronie *Lekcja 14*, 2015, *Zoki*, wystawa indywidualna, Centrum Informacji Naukowej i Biblioteka Akademicka, Katowice 2016.



Wrona, pozytywka, 2018, nigdzie nie pokazywana.

wałam. To okres w którym powstały najliczniej moje autoportrety (malarskie, w technice akrylu i w technice mieszanej – obszerny cykl lustrzanych obiektów z inscenizowaną fotografią mojej osoby pod tytułem – „Ja jak to”), często okraszone odautorskim komentarzem do rzeczywistości w której starałam się przetrwać.

To okres przeżywania pierwszej poważnej i pięknej miłości do drugiego człowieka, to pierwsze wspólne mieszkanie z kimś. Autoportret służył mi do rozpoznawania siebie i otaczającej mnie rze-

czywistości. Byłam swoim najlepszym materiałem wizualnym, zawsze pod ręką i bez skrupułów wykorzystywałam siebie, inscenizowałam, przebierałam, fotografowałam, rysowałam i malowałam. Opowiadałam sobą świat. Malowałam siebie jedzącą zupę, a na dnie talerza były wyhaftowane z serwety gołąbki w idyllicznym zbliżeniu, tytułowałam – „Na obiad dzisiaj gołąbki”. Malowałam siebie z grzechotnikiem w dłoniach na obrazie pod tytułem – „Grzechotka”, w tle portretu łóże małżeńskie i dziecięce łóżeczko, nad nami lampa z Ikea, mały raj zagrożony niebezpieczeństwem zajścia w ciążę, gdy z ledwością z ukochanym starczało na chleb z Awitekstu i pasztet z kogucikiem. Malowałam siebie na tle czarnym, z wierzbowymi listkami na twarzy („Jestem jak wierzba wечно płacząca”) i obramioną jak nekrolog, patrzącą do góry, stojącą na posadzce we wzór wieńców laurowych, gdy grubłam zajądając stresy, a ukochany nie umiał odnaleźć już mojej figury w kształcie klepsydry („Figura w kształcie klepsydry”). Namalowałam siebie w kaftanie bezpieczeństwa (który sama sobie najpierw uszyłam, żeby sprawdzić jak to jest, gdy cię już zabiorą) („Mała czarna na każdą okazję, biała okazjonalnie”). Obraz który wraz z kilkoma innymi pracami po raz pierwszy pozwolił mi zawisnąć na Bielskiej Jesieni (2009 rok), potem kupiony przez Agatę Smalcerz, dyrektorkę Galerii Bielskiej BWA w Bielsku-Białej. Namalowałam siebie, jako siłaczkę z bicepsami, które ukazały się na cieniu padającym na szutrowej drodze w pełnym słońcu, gdy koleżanka fotografka zrobiła mi zdjęcie w zadużej sukni ślubnej z bufkami, kupionej w szmateksie w Pszczynie za 2 zł (cena dnia). Do wielu tych autoportretów przygotowywałam się długo, zbierałam przedmioty i przetwarzałam je odpowiednio (np. uszyłam pas na biodra, jak kaburę na broń, a w nim kuchenne przybory – pałki, chochle, ubijaczki, noże, mąteвки, rogalki, różgi i trzepaczki obszyte różnym materiałem tekstylnym), szyłam zaprojektowane przeze mnie odzienie, czekałam na wiosnę, albo wykorzystywałam śnieg. Foliowałam całe ciało przezroczystą folią śniadaniową i pozowałam wtulona we wnękę w znieawidzonej meblościance jako zakurzony 'kryształ'. Zszywałam kilkanaście metrów bieżących pożółkłych firanek, którymi zimą na moim rodzimym podwórku okręcał mnie mój partner, bym z miotłą z wierzbowych witek w dłoni i wsadzoną w usta marchewką stała się bałwanem („Zrobiliście ze mnie bałwana, nie wiedziałam, że może być tak zimno”). Zaszuszałam kwiat hipeastrum po kwitnieniu i czekałam na nowy, żeby móc sfotografować się z dwoma kwiatami, tym zaszuszonym i tym świeżo rozkwitłym („Lubi, kocha, szanuje, nie chce, nie dba, żałuje”). Ostatni obraz z tego cyklu o którym wspomnę to autoportret zatytułowany – „Nie zaciasno?”. Tu moja twarz wyłania się z płotka, którego sztachety drewniane zastąpione zostały krawatami. Rozprułam męskie krawaty, do środka wsadziłam tekturę. Konstrukcję metalową (walca z kółkami), którą obszyłam wzorzystym materiałem i do której przyszyłam krawaty wykonał i zespawał na moją prośbę mój ojciec. Namalowany obrazek posłałam na konkurs miniatury malarskiej do Torunia („VIII Triennale Małych Form malarskich”, Galeria Sztuki WOZOWNIA w Toruniu, 10.09 - 03.10.2010), dostał się do wystawy, potem dowiedziałam się od Beaty Ewy Białeckiej, która była jedną z jury, że dostałabym nagrodę, gdyby nie to, że zgłosiłam tylko jedną pracę, a nie na przykład dwie, trzy. Wtedy dowiedziałam się, żeby być wiarygodną w świecie sztuki należy zgłaszać minimum trzy prace do konkursu, to nic, że zawsze pracowałam wieloletnimi cyklami. Polon potwierdził i Ci tajemniczy 'eksperti' również, że cykle to podstawa w twórczości. Jeszcze kilka słów o moim lustrzanym cyklu, zanim zbliżę się do dzieła habilitacyjnego. „Ja jak to”, to moja kolejna aktorsko-fotograficzna odsłona w kreacji artystycznej łącząca przetwarzanie przedmiotów znalezionych (luster i ram), zastosowanie techniki własnej (wydrapywanie podlewki srebra) i tytułowanie, które w dużej mierze dopełnia moje prace, zwłaszcza te bardziej narracyjne. Zawsze podobały mi się rzeczy zniszczone, ale dostojnie ładne w swym 'jeszcze trwaniu'. Kiedy kilka lat wcześniej natrafiłam na swoje lalki z dzieciństwa i choć wcześniej już miałam ochotę na to, dopiero wtedy dobrałam się do ich mrugających oczu. Teraz pozwoliłam sobie spojrzeć na drugą stronę lustra. Jak to się dzieje, że w srebrzystej tafli robi się plama nieodbijająca, która koroduje i staje się zwykłą szybą. Wyjęłam stare lustro

z ramy, odciągnęłam płytę z pilśni zabezpieczającej tył i zobaczyłam tę korozję wyłaniającą się spod warstwy zabezpieczającej lustro. Zaczęłam drapać, robiłam prześwity, choć w dużym obszarze zostawiałam nienaruszoną powłokę lustra bo odsłaniałam tylko fragment i pod to odsłonięcie podkładałam swoje fotograficzne autoportrety. Znowu pozowałam, ale tak naprawdę odsłaniałam się. Luster szukałam wszędzie, na śmietnikach (jak mój dziadek), niedzielnym targu staroci pod Halą w Krakowie, zaglądałam na dziedzińce starych kamienic, rozpytywałam znajomych i dostawałam od nich, jak wcześniej stare, niepotrzebne nikomu już lalki. Tak działałam zazwyczaj, opowiadałam, zbierałam, przetwarzalam. Ludzie uwielbiają rozmawiać, dzielić się, pomagać i potem oglądać



Zdjęcie pracy *Wysłałam za męża*, z cyklu *Ja jak to*, 2010, *Patrzę na Ciebie Oczy Świętej*, wystawa indywidualna, Baszta Czarownic, Bałtycka Galeria Sztuki Współczesnej, Słupsk, 2011.

stworzone prace. Ludzie lubią mieć swój udział, opowieści lubią, łakną tego. Dlatego często miałam aplauz wśród odbiorców, bo robiłam sztukę z życia wziętą i materiałów często podarowanych przez kogoś. Lubiłam o tym opowiadać, nigdy nie miałam problemu żeby mówić, odpowiadać na pytania widzów – co, z czego i jak, po co? nawet na wernisażach. Wiem, jest szereg artystów i artystek, którzy niczego nie mówią, nie tłumaczą proveniencji, metody i powodów, ale ja do nich nie należę. Na każdym otwarciu indywidualnej wystawy mówię, opowiadam o pracach, potem rozmawiam z odbiorcami. Wróć teraz do pracy na uczelni i czasu, gdy przyszło mi 'zrobić doktorat'. Na doktorat chciałam podsumować swoje działania z zakresu autoportretu w którym miałam duże doświadczenie. Doktorat obroniłam w 2013 roku, czyli osiem lat po skończeniu studiów. Pisałam o autoportrecie w sztuce i wykonałam cykl autoportretów w grafice cyfrowej. Od jakiegoś czasu fascynował mnie haft, sama próbowałam różnych technik i zapisów tą metodą, ale w tym przypadku wróciłam na wieś rodzinną z zamiarem odszukania pań z sąsiedztwa, które haftują na co dzień (poznałam je, gdy robiłam praktykę w mojej szkole podstawowej i prowadziłam zajęcia plastyczne dla dzieci, młodzieży i dorosłych). Odwiedzałam je, rozmawiałam, opowiadałam o moim projekcie w którym chciałam z fragmmentów wyhaftowanych przez innych stworzyć swój autoportret, panie pozwalały mi sfotografować w dużej rozdzielczości swoje prace, zazwyczaj krzyżkowe hafty.

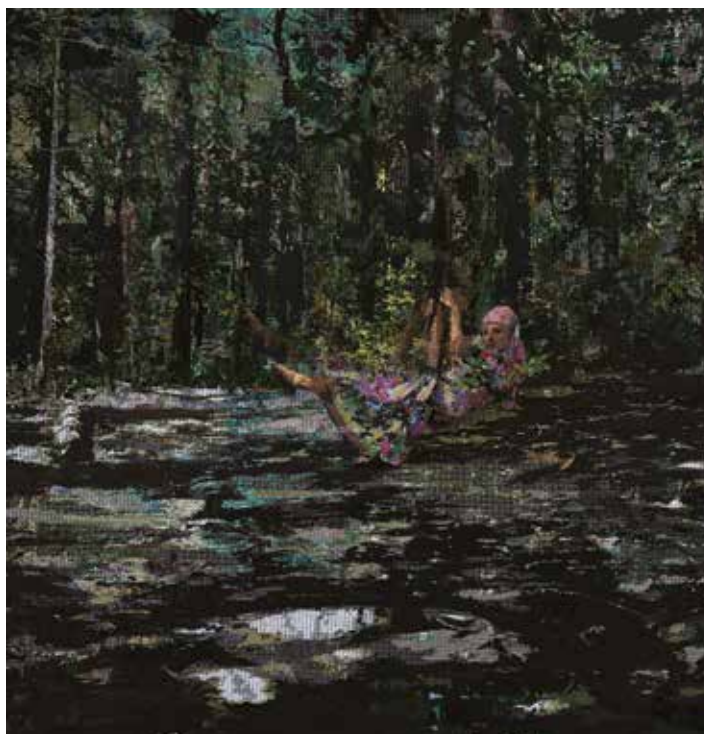


Fragment haftowanej serwety.

Po zebraniu obszernych materiałów zabrałam się do pracy. Z kilkuset zdjęć autentycznych haftów wyciągałam detale, fragmenty, pojedyncze ściegi i kolory i budowałam z nich swoje autoportrety z prac wielu kobiet znanych mi osobiście.

Przedstawiłam siebie w sceneriach mi bliskich, zapamiętanych ze wsi rodzinnej i okolic dorastania. Cykl nazwałam – „Ja podejrzane”. Były to krajobrazy zapamiętane, wdrukowane niemal, engramy doznań, okrasiałam je tytułami z japońskich haiku. Te sceny i widoki przedstawiały mnie na przykład siedzącą na krawędzi basenu na plenerze plastycznym w opuszczonym pałacyku w Bieszczadach, skrytą za drzewem w bukowym lesie (widać tylko moje dłonie obejmujące pień drzewa), siedzącą w karmniku dla saren w lesie zimą, gdy skulona czekałam czy któraś podejdzie na odległość dłoni. „Usiadła wrona” pokazywała mnie nagą, przykucniętą nad brzegiem jeziora, gdzie spędziłam czas pomiędzy porzuceniem pracy w redakcji Niedzieli, a rozpoczęciem pracy na uczelni. W pracy „Powój” piełam się pomiędzy ziemią, a drzewem na huśtawce, którą ktoś zawiesił autentycznie na wysokim dębie w lesie nieopodal mojego domu rodzinnego.

W „Ogrzewczu do nóg” pokazałam siebie w wielokolorowych czapkach wydzierganych na szydełku przez moją mamę Zofię, których ja nigdy nie nosiłam, bo zawsze byłam raczej ukryta odzieżowo w czerni i szarościach jak mój ojciec. Gdy matka zaniemogła, gdy nie umiała już poruszać dłońmi włożyłam na głowę te wszystkie kolorowe czapki, które dla mnie zrobiła, gdy była jeszcze zdrowa i tak się sfotografowałam. Wyglądam jak w przedziwnym hełmie o wysokości kilkudziesięciu centymetrów, który chyli się na bok ku upadkowi. Każda taka sesja, gdy miałam pomysł, zamierzenie, plan, scenerię i rekwizyty przygotowane wymagała poproszenia kogoś o pomoc w sfotografowaniu. Nie było wtedy smartphonów i selfiesticków. Osobami tymi najczęściej był to mój partner Wojciech i przyjaciółka Beata. Lubiłam bardzo te sesje, ten kontakt między bliską mi osobą, moim wyobrażeniem tego, co powinno powstać, a mną samą, ograniczoną wersją siebie w swoim własnym wyobrażeniu i zależną od fotografującego. Praca składająca się na doktorat była więc podsumowaniem wszystkich tych doświadczeń z wiązanych z portretowaniem siebie, przemyśleniem swojej wizji świata w tej ujednoliconej barwnie tonacji i statycznych kompozycjach zbliżonych w przeważającej części do kwadratu.

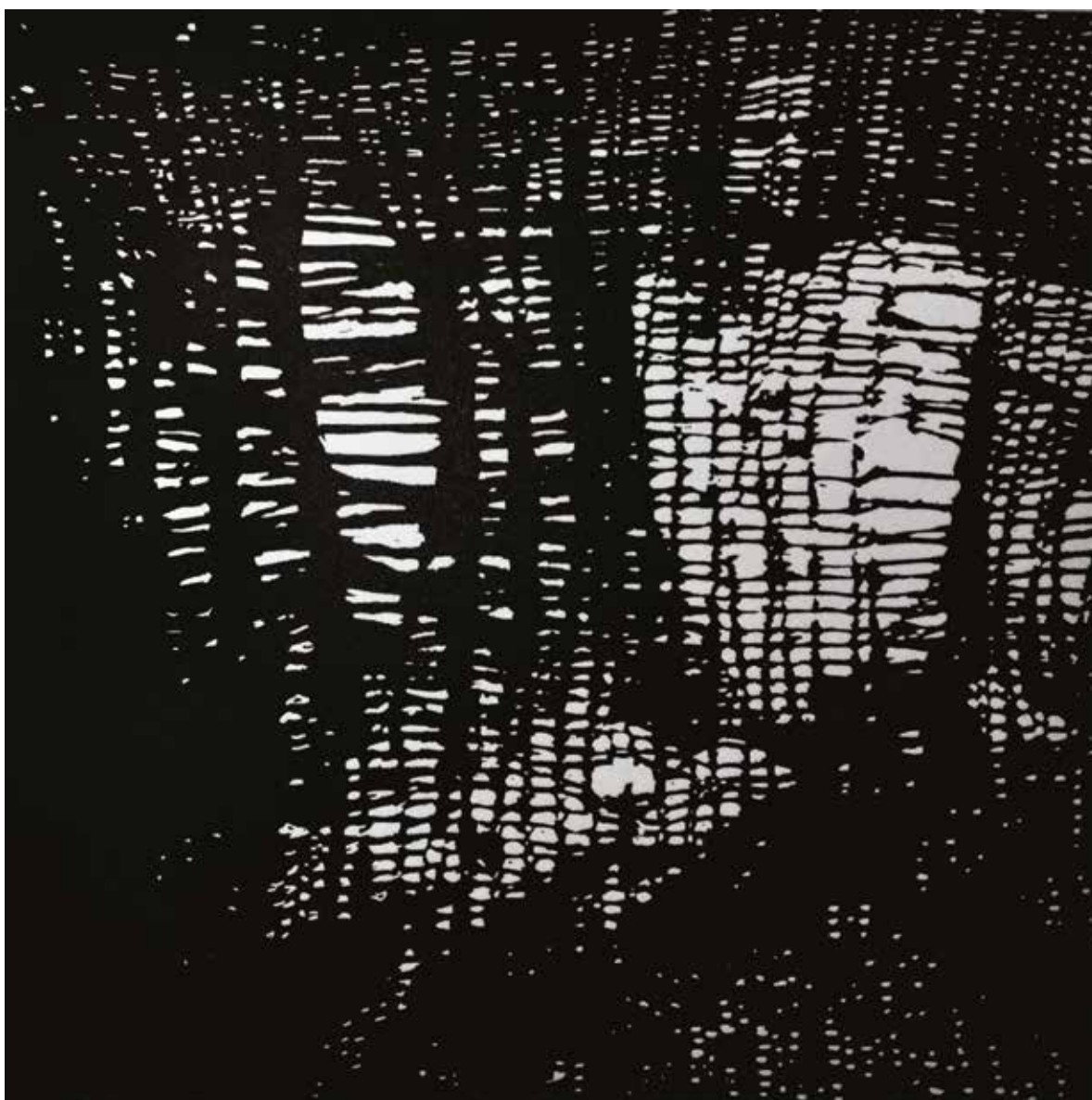




Wrośnięta, z cyklu *Ja podejrzane*, 2012, na poprzedniej stronie *Powój* z tego samego cyklu, *Wiara w złudzenie*, Galeria Promocji Młodych, Bałucki Ośrodek Kultury Łódź, 2014.

Dzieło, które chciałabym zgłosić jako habilitacyjne zaczęło powstawać wiele lat temu na przełomie roku 2008 i 2009, czyli na początku mojej pracy w Instytucie Sztuki w Cieszynie i mojego w Krakowie zamieszkania z bardzo bliską memu sercu osobą. Miałam wiele czasu na twórczość, bowiem był to szczęśliwy czas w którym nie byłam zasypywana spamem uczelnianym, powinnościami sprawozdawczymi, administracyjnymi i wieloma innymi sprawami okołouczelnianymi. Odkąd pamiętam, rys kolekcjonerski mimo swoich ubogich korzeni bardzo mocno mnie charakteryzował. To znaczy, jeśli na wsi odryłam miejsca w których aż roilo się od wapiennych amonitów, odpuszczałam dopiero, gdy nie znajdowałam już żadnych okazów. Jako mała dziewczynka mieszkająca na wsi nieopodal rzeki po każdej ulewie wyruszałam na spacer wzdłuż głównej drogi żeby zebrać rozjechane samochodami żaby. Każdy kształt tego rozprasowanego zwierzęcia stawał się moim pokazem w kolekcji, dohaftowywałam fragmenty i robiłam z nich zakładki do książek. Do domu znosiłam muszle ślimaków, które po złożeniu ich w doniczkach roślin pokojowych, na wisnę przebudziły się i wypęły, ożywiając wnętrza naszego domu rodzinnego (potem zobaczyłam podobną scenę w filmie Petera Greenaway – „Zet i dwa zera”). Tak więc na przełomie roku 2008 i 2009 spoj-

rzałam na swoje stopy w czarnych skarpetach i na pięcie zobaczyłam duże przetarcie, siateczkę linii osnowy rozciągliwego materiału, bez dziury, spod którego przświtywała pięta. Za chwilę ściągając ze stopy skarpetę nakładałam na dłoń i obserwowałam zauroczona tą delikatną strukturę. Podkładałam pod prześwit różne rzeczy, niewielkich rozmiarów fotografię, tekst, rysunek. Przejrzałam zawartość szuflady z bielizną swoją i mojego partnera. Okazało się, że ja przecieram skarpety głównie na piętach i dużym palcu stopy, konkubent przecierał intensywniej w kilku miejscach równomiernie. Rozpoczęłam pracę nad tym materiałem. Z pomocą w pozyskaniu większej ilości skarpet jak zwykle przyszli znajomi i niezawodne szmateksy w Krakowie. Szczególnie jeden na ul. Długiej przy Nowym Kleparzu. Olbrzymi jak hala targowa w dziale z odzieżą na wagę posiadał olbrzymi boks w którym szukałam odpowiednich dla mnie skarpet. Pierwszą pracą jaką wykonałam w tym rodzącym się dopiero wieloletnim cyklu była praca w której prześwity ze skarpet moich i mojego partnera ukazywały się wybrane fragmenty naszych twarzy. Więcej tam było moich zbliżeń oczu, ust, detali i powiększeń, jakbym chciała nieco porzucić praktykę autoportretowania się, ale nie do końca. Zawsze coś w życiu zbierałam, zbierałam kamyki – stare misie pluszowe, znaczki

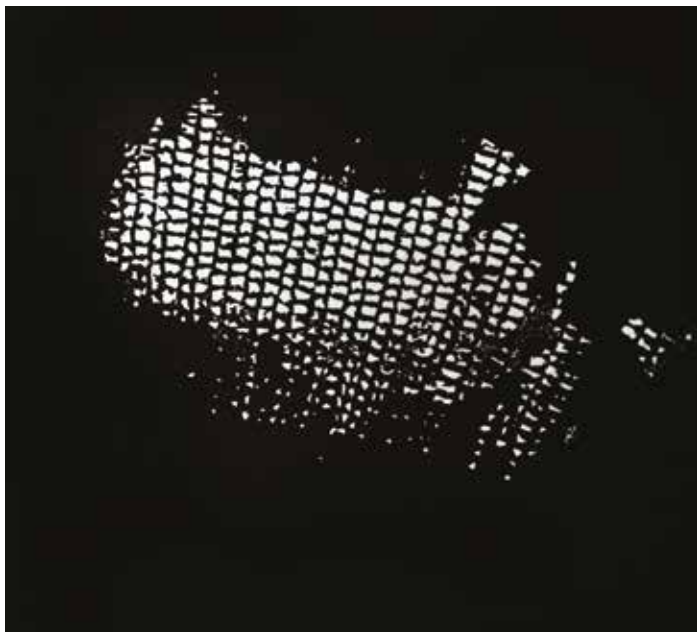


Darn I, 2014 i na następnej stronie *Darn II*,

To my, Polska II, Gallery of IMNRC Instituto Mexicano Norteamericano de Relaciones Culturales, Monterrey, Meksyk.

po ojcu – siniaki po upadkach, także fotograficznie wciąż tworzyłam zbiory – efemeryczne cienie, zakurzone ślady po zdjęciu obrazów, dziwne kształty roślin. Jestem kustoszem codziennych zma- gań, spojrzeń pod nogi, podnoszenia upuszczonego. Stać mnie, więc jestem kolekcjonerką prze- tartych skarpet, czy to jak je zdzieram mówi coś o mnie? Jak zdzierasz je Ty, czy jesteśmy do siebie podobni? Czy pasujemy do siebie dziurami w skarpetach?

To frapowało mnie w początkach tej pracy. Praca ta z zamierzenia miała być kolekcją osobistą, kolejną kolekcją, zbiorem. Tak więc najpierw pojawiła się potrzeba, a potem pojawiła technika. Różne kształty przetarć, odkrywają fotograficzne zapisy twarzy, emocji ludzi mi bliskich, mnie sa- mej, rodziny, ale także dalszych znajomych. Kolekcja powstaje sukcesywnie, w miarę jak moje i najbliższych osób nogi zużywają kolejne skarpety. Kształty kolekcji uformowane są odpowiednio do kształ- tów półki, gabloty bądź kaszty kolekcjonerskiej, później także krosna malarskiego, deski. Na każdym z małych obiektów można obejrzeć misterną siatkę linii materiału prawie w zaniku. W dzisiejszym świecie prawie każdy z nas jest kolekcjonerem, zakupoholicy zdobywają kolej- ny okaz kupując, erotoman uwodząc, a posiadacz aparatu cyfrowego wszystkiego co go zafrapuje i pragnie za- właszczyć, bądź zabrać ze sobą choćby w postaci symbolicznego zdjęcia. Kolekcja czegoś, co nie nadaje się do kolekcjonowania stała się dla mnie okazją do za- trzymania, przyjrzenia się sobie i bliskim. W dzisiejszych czasach bycie człowiekiem staje się bardzo skompliko- wane. Dlatego moje zbieranie starych skarpetek i two- rzenie z nich powiększającej się kolekcji posłużyło mi nie raz jako narzędzie autoanalizy oraz pozwoliło stworzyć porównawczą galerię wariantów osobowościowych użytkowników skarpet, czyli nas wszystkich. Żyjąc zоста- wiamy ślady. Bezwiednie fotografujemy swoją codzienność i wrzucając kolejne zdjęcia w wirtual- ny świat niby wspólnoty, jakby przeczuwamy, że wszystko zdaje się umykać. Tropy zdają się mylić nas samych w gorączce igrzysk codziennej bieganiny. Sztuka ten bieg spowalnia i różnicuje, za- równo dla artysty jak i odbiorcy. Pozwala przyrzeć się kolejnym etapom, posunięciom, czasem jak na stop klatce widzimy wtedy naszą kondycję. W twórczości kumuluje się pamięć indywidualna artysty, kształtowana przez społeczne mechanizmy, ale i pamięć mimowolna, podświadoma. W „Pasażach” Walter Benjamin pisał, że „ W kolekcjonerstwie ważne jest to, że przedmiot odarty zo- staje ze wszystkich swych pierwotnych funkcji użytkowych; dzięki temu staje się bardziej brze- mienny sensem. Tak staje się on prawdziwą encyklopedią wszelkiej wiedzy swej epoki, krajobrazu, przemysłu i właścicieli, od których pochodzi.” Podobnie i w mojej kolekcji skarpety nie przypomi- nają kształtem tych zdjętych ze stopy ale przyjmują kształt przyciętych do odpowiednich form kawałków styropianu lub pianki do których przyklepione są zdjęcia. Mała lub większa dziura, prze- tartcie w skarpecie daje wizualny wgląd w ukryty fotograficzny obraz filtrując go równocześnie przez misterną i graficzną w swej urodzie siateczkę linii, strukturę materiału z którego wykonana była dana skarpetka. Dzięki temu połączeniu realnej fotografii danej osoby ze zużytą częścią bieli- zny uzyskuję w istocie symboliczne treści na poziomie ogólnoludzkim. Ten świat powiększającej się kolekcji przestaje dzielić się na mój i nie mój. Niektóre prześwity ukazują więcej ze zdjęcia inne mniej przejrzyste mniej. Całkiem jak pojawiający się na tych fotografiach ludzie, którzy są mi bliscy





Fragment instalacji cyklu *Lekcja skarpet*, 2017
poniżej zdjęcie z wystawy *Spotkania Sztuki Niezależnej*, Budynek Geesu, Lanckorona, 2012.

lub tylko ledwo znajomi. I jedni i drudzy stajemy się nierozłącznie wpleceni we wspólną tkanę świata przebłysków świadomości, codziennych powinności, zmęczeń i zachwyków. Poszczególne okazy mojej kolekcji to nie są zwykłe skarpetki w taki czy inny deseń, to są setki przebytych kroków, to jest życie, które się w tym czasie „wyżyło”, emocje, które wybrzmiały. „To, co się zdarzyło, uwzniośla ich zwyczajność.” „W życiu wszystko możesz osiągnąć, wszystko wokół ciebie i na świecie możesz pokonać, życie może dać ci wszystko i ty możesz wziąć z życia wszystko: tylko nie możesz zmienić czyjś gustu, skłonności, rytmu życia, właśnie owej odmienności, jaka w pełni charakteryzuje tego człowieka, który jest dla ciebie ważny, który jest ci bliski.” Taką różnorodność cenię. Zmieniam skarpetki, nie staram się zmieniać ludzi. W naszym otoczeniu nie ma już śmierci, zniszczenia, starości. Wszystko co nosi tego znamiona zostaje natychmiast usuwane z widoku oczu - do szpitala, śmietnika, przytułku. A przecież wszelka pamięć o przeszłości jest decydująca dla naszego poczucia tożsamości, to ona – jak powiedział David Lowenthal – decyduje o samo-identyfikacji, refleksyjnej, autobiograficznej samoświadomości. „(...) przeszłość jest wcielona w istoty ludzkie, w ich nieuświadomiane odruchy, emocje, gesty, mimikę, w ich zachowania, w język, jakiego używają, w ich zapatrywania, w ich oczekiwania. Ludzie są w istonej mierze zaprogramowani przez przeszłość. Tworzenie takiej jak moja kolekcji ze znoszonych części odzieży codziennej jest wyrażeniem szacunku do przeszłości i swoistym rodzajem uwagi z jaką postrzegam świat i ludzi wokół siebie. To wytrwale gromadzone zasoby uważności, kontakty międzyludzkie





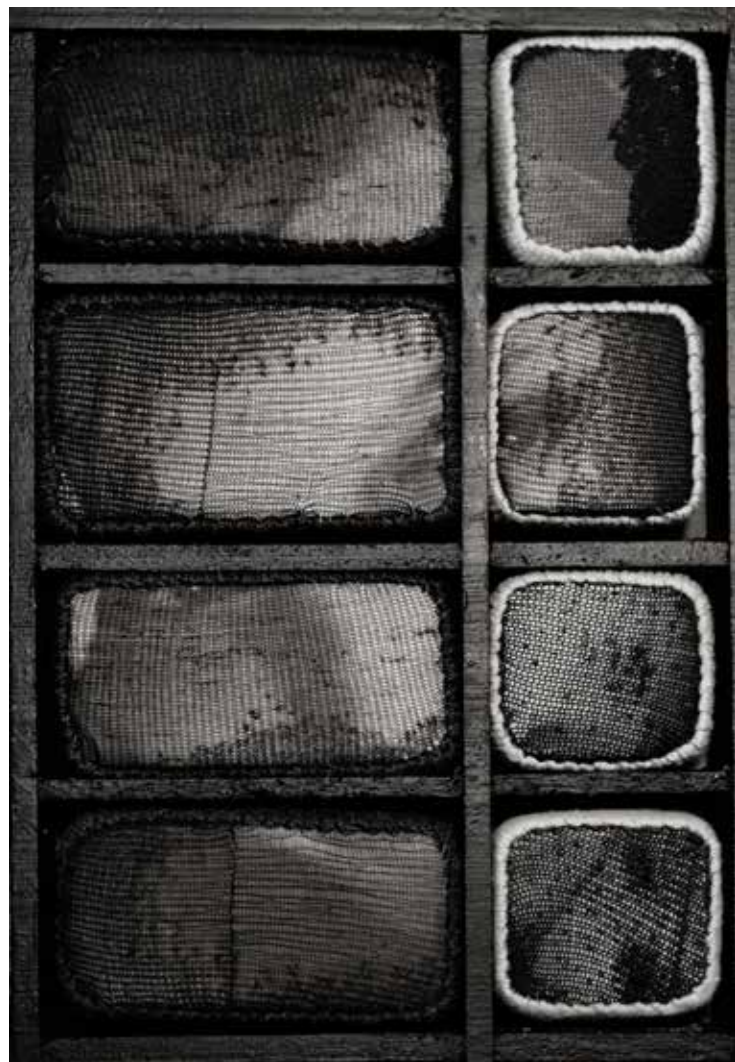


Po czasie, 2016, z cyklu *Pozytywy*, *Drobne ranki, piękne zmierzchy*, Galeria Bielska BWA, Bielsko Biała 2018
Na poprzedniej stronie detal z pracy *Lekcja 10*, 2014.

i odrobina formy, która scala poszczególne elementy w całość tworzy ten kolekcjonerski świat ubytków, przebłysków, zatrzymań i upamiętnienia minionego. Na sto lat przed Cage'em Flaubert powiedział, że nic nie jest nudne, jeśli przyglądasz się temu dostatecznie długo. Im dłużej więc przyglądałam się przetarciom tym wydawały mi się piękniejsze, kruche i misternie utkane niczym najprecyzyjniejsze ręcznie robione koronki. Dla innych są to tylko banalne śmieci, zużyte części garderoby dla mnie ta proza zużywalności przemienia się w poezję pamięci. „Jak uczył nas Krzysztof Pomian odpady nie muszą być ostatnim etapem losu rzeczy a jedynie symptomem ich defunkcjonalizacji, kiedy to przedmioty wypadają z obiegu użytku i pożytku. Po tym etapie wyłączenia, neutralizacji mogą uzyskać nowe znaczenie. To, co turla się po poboczach naszych głównych nurtów jest więc zawsze czymś całkowicie zbędnym i jednocześnie czymś (potencjalnie) absolutnie przydatnym. Tym, co można zignorować i co należy cenić, bo służą nam najbardziej, właśnie wte-



dy, kiedy już (pozornie) nie służą.” Tak więc mój rozrastający się zbiór skarpet kryjących w sobie fotografie to skatalogowana przez emocje i przeżycia kolekcja. Definicja zaś kolekcji według znawcy tego tematu - Krzysztofa Pomiana to nic innego jak każdy zbiór przedmiotów naturalnych lub wytworzonych, utrzymywanych czasowo lub trwale poza obszarem czynności gospodarczych, poddanych szczególnej opiece w miejscu zamkniętym i wystawionych do oglądania. Prace moje często wyrastają z natłoku codzienności, narzucanych powinności, godzenia rzeczywistości, jak i wyobrażenia o jej wyidealizowanej wersji. Zaczęłam wyodrębniać fragmenty potocznych materiałów i komponować z nich na nowo, coś nowego. Powtarzalność tego budowania, czy to zszywania patchorkowego, czy budowania kostek rozmieszczonych w półce z przegródkami, anonimowość pojawiających się twarze zapisanych fotograficznie cyfrowo i analogowo, wyłaniających się raczej nieznacznie z przetarć sprawia w warstwie wierzchniej wyobrazenie czegoś oswojonego, niczym wielopiętrowy blok mieszkalny, czy drzewo genealogiczne. Także wieloelementowość tego cyklu daje możliwość tworzenia nowej instalacji w konkretnej przestrzeni wystawienniczej. Dzięki temu aspektowi pracy mogę wejść w lepszy kontakt z otaczającą mnie przestrzenią. Podobnie jak napotkani ludzie, którzy czasem natrętnie wkraczają w naszą codzienność, inni zaś, choć chcielibyśmy ich wyprosić z pamięci, pozostają w nas na długie lata. Ta monotonna pracochłonność budowania kolejnego segmentu układanki stała się właściwością na którą świadomie przystałam. Brakowało mi tego aspektu we wcześniejszych pracach bardziej narracyjnych (w autoportretach, portretach). Jak w medytacji, rozpuściły się we mnie inne nieznaczające sprawy, bodźce przestały docierać, a ja skupiłam się na odrabianiu tej lekcji, która była nieunikniona. Osoby mi najbliższe, znajome, ledwie pamiętane i obce zaczęły mieć równe znaczenie w tym rozrastającym się wieloosobowym portrecie, fragmenty ich ciał mieniają się, tworząc estetyczny ornament. Odbiorca mojego dzieła w pierwszej kolejności przygląda się grze migotających, często kolorowych graniastych form jakby oglądał obraz abstrakcyjny, innym razem na myśl przychodzi widok wielotysięcznego blokowiska. Gdy podejdziesz bliżej dostrzeże twarze, ciała, oczy, gdy jeszcze bardziej skróci dystans i przyjrzy się materi rozpozna intymny charakter bielizny, odzieży zużytej życiem. Dystans pomiędzy mną, a widzom może wtedy ulec rozproszeniu, bo choć różne reakcje wzbudza materia starych skarpet, łączy nas starzenie się, upływ czasu, trwanie tylko do pewnego czasu. To chowanie portretowania pod warstwę wierzchnią jest dwuznaczne, bo z jednej strony wyraża chęć upamiętnienia ludzi, dla mnie znaczących, udokumentowania ich w swoim życiu, z drugiej ukazują tłum, mnogość, nieznaną obcość, a więc także niedoskonałość tych wspomnień, niedoskonałość tych wszystkich relacji. We fragmencie Teajteta Sokrates



Na poprzedniej, następnej i na tej stronie fragmenty prac z cyklu *Lekcja skarpet*, 2009-2018.



użył metafory woskowej tabliczki ukazując mechanizm zapamiętywania, przyrównując go do od-ciskania śladów na jej powierzchni i przeciwstawnego zapominania, zacierania śladów. Jest wiele punktów wspólnych pomiędzy tymi formalnie zróżnicowanymi pracami tego omawianego cyklu, łączą je symetryczność układu, statyczność komponowania, powiększające się struktury, tworzenie pewnego rodzaju zbiorów, porównań, skupisk. Stare, zużyte skarpety użyte jako materiał i za-razem narzędzie w moim dziele – „Lekcja skarpet” nabierają szerszego znaczenia, bo pokazują człowieka w wogólności. Manualna przyjemność tworzenia powielanych układów, mnożenie ele-

mentów w oparciu o strategię recyklingowe jest też odwzorowaniem mojego osobistego imperatywu do oczyszczania, porządkowania przestrzeni najbliższej. To sięganie w wielu pracach do materiałów podręcznych stanowi z jednej strony ograniczenie z którym się zmagam, z drugiej wyzwanie prowokujące nowe pokłady innowacyjności. Mnogość niby podobnych kształtów, liczność twarzy, niepowtarzalność autentycznych zniszczeń tekstylnej materii, ubytków poprzez wyżycie fluktuują ze sobą, usuwają hierarchię ważności pewnych technik i granic obrazowania. Cały czas fascynuje mnie nowo odkrywana możliwość przenikania dyscyplin. Większość prac buduję warstwowo z kolejnych elementów, akcentując ich materiałową odrębność. Rzeczy tak bardzo nas w terażniejszym życiu zajmują, w życiu, które upływa rozbrajająco szybko. Wymieniamy jedne przedmioty na inne, remontujemy mieszkania by stanowiły lepsze ramy dla dóbr doczesnych. My sami w tych staraniach zużywamy się, starzejemy się jak nasze odzienie. Oczywiście moje formatwórcze przetworzenia przedmiotów, materiałów potocznych poddane jest zawsze pewnej estetyzacji. Odślaniam fragment, a nie całość twarzy człowieka, zacerowuję dziury, ale nie wszystkie. Odślonięcia, zakrycia formują pewien obraz, ale tylko jakiś ułomny wycinek z człowieka, ze mnie samej w licznych fragmentach mojej twarzy, tak jak obszar psychiki i emocji jest niezgłębiony w całości. Moje tworzenie kształtuję na przecuciu wielowymiarowości naszego istnienia, te moje mechanizmy przepoczwarzania jednej rzeczy w drugą, szukanie podobieństw, przy jednoczesnym akceptowaniu różnic. Świat, nie tylko w moim artystycznym poszukiwaniu to obraz złożony z wielu innych obrazów. Praca z warstwami, kolażowym podejściem w budowaniu formy to także moje zmaganie się z moją ograniczonością postrzegania, czucia, świadomości wreszcie. Dlaczego w dużym fragmencie opowiedziałam moje skromne życie w autoreferacie? Ano dlatego, że moje najbliższe otoczenie, ludzie, natura, kultura współtworzą moje prace. To odczucie mnogości, zależności, złożoności tego wszystkiego, co nas kształtuje, jak istniejemy na pewnym etapie życia objawiło mi się i pogodziło z moją własną metodą, z tym pluralizmem form, w którym się odnajduję wciąż poszerzając percepcję i wyobraźnię swoją. Wiele razy słyszałam od znajomych – po co ci te skarpety? te dziwne obiekty, całe to szycie? nigdzie tego nie sprzedasz, nie pokażesz, żadnej nagrody tym nie zdobędziesz. Tak, to być może prawda. W świecie gdzie codzienność zmusza do maksymalnej wydajności, szybkości, ewolucja do przyjemności i ekspansji, a marketingowo-społeczna dyktatura by było zanie i wygodnie nie zachęcają do refleksji, do szukania swojego prawdziwego ja. Pewna kasjerka w sklepie spożywczym, gdzie robię zakupy powiedziała mi kiedyś, że kupuję najbrzydsze warzywa i powinnam mieć jakąś zniżkę. Zniżkę na poskręcane we własnym uścisku marchewki, wielonożne pierzuszki, hermafrodytyczne ziemniaki, warzywa, które z pieczołowitością wyszukuję, rysuję, fotografuję a potem zjadam. Niedługo przecież to będą białe kruki w marketach, gdzie wszystko będzie jednako dorodne, kolorystycznie uśrednione i bez smaku. Nie jestem etyczką, socjolożką, literatką, filozofką, to czym się zajmuję to obrazowanie rzeczywistości w taki sposób by dostrzec jej elementy inaczej, prawdziwie dla mnie samej, po swojemu więc inaczej niż inni, by móc pełniej wyrażać siebie, lepiej poznać swoje prawdziwe ja i tym właśnie się dzielić. Wiele koncepcji filozoficznych mówi, że człowiek myśli tylko w granicach swojego języka. Jeśli tak, to poszerzanie zdolności do wyrażania swoich uczuć, poszerzanie języka sztuki może być wystarczającym zajęciem artystki. Myślę, że najlepiej tworzy się, gdy przestajemy poszukiwać inspiracji w innych, gdy przestajemy się uczyć od innych, twórczość wynika tedy z głębszych pokładów osobowości, niż z samej chęci badania i poznawania języka formy i różnic formalnych.